

Czytamy książki...

Przygody polskiej wyprawy polarnej

Na wyspie mgieł i wichrów

Trójka polskich zuchów na Wyspie Niedźwiedziej

Od czasów książki „Historia wypraw polarnych”, w której prof. Dobrowolski opisuje swe przygody w głębinach wypraw „Belgiki” do bieguna północnego, chyba dopiero teraz znów mamy pamiętnik *) polskiego nieznajomego ekspedycji polarnej.

Pamiętacie dwa grube wielkie tomy, napisane przez słynnego Nansen? Pamiętacie powieści dla młodzieży o zdobywca bieguna? Kto wtedy zaczytywał się opowieściami o podróżach w kraj wiecznych lodów, pół roku trwającej nocy i nagłych rozbiłków zory polarnej, niech teraz przeczyta historię prawdziwą i niedawną, bo z roku 1932 i 1933. Jeszcze przed niespełna dwoma laty czekaliśmy na depesze z Wyspy Niedźwiedziej — depesza była wtedy sensacją i wiadomości o losach trzech Polaków, żyjących na dalekiej północy, oddalonych o 2341 km. od Warszawy, umieszczano się na czołowym miejscu w dzienniku. Kiedy zaś wrócili do Polski, posypały się wywiady, artykuły i odczyty. Nie dawano im spokoju, egłło żądano nowych szczegółów i jak dzieci, gdy nam już wszystko opowiedziano, wolałmy: jeszcze raz od początku!

Na Wyspie Niedźwiedziej

Wice właściciel: jeszcze raz od początku! Tembardziej, że już wszyscy chyba zapomnieli, jaki był początek. W przedmowie do pamiętnika inż. Centkiewicza, prof. Dobrowolski pisze:

„Polska wzięła udział w Roku Polarnym. Tem samem zapisała swe imię w historii badań polarnych. Jest to pierwszy czyn polarny narodu polskiego. A stało się to mimo kamień, rzucanych bez przerwy, aż do wyjazdu wyprawy, na drogę jej realizacji, pomimo niepewności, iż prawie do samego wyjazdu, otrzymania niezbędnych funduszy, pomimo wreszcie przerażającego ubóstwa, otrzymanego — w ostatniej chwili — zasilku: 25.000 zł! Francuzi, naród znany ze swej oszczędności, wysygnęli — uchwałą parlamentu — 3 miliony franków, Szwedzi — pół miliona koron szw. Wyprawa wyruszyła jedynie dzięki niezemnie dającemu się zrazić, aż do dziwnemu uporowi i energii Dyrektora Państw. Inst. Meteorol. Juna Lugeona, dzięki także zapłatowi i poświęceniu trzech przez niego wybranych, przez Polską Komisję Roku Polarne, przyjeżdżających młodych Polaków”.

Jako cel wyprawy wyznaczono Wyspę Niedźwiedziej — tam prawie przez rok polska stacja miała robić obserwacje. Trzech zaś obserwatorów, to inż. Czesław Centkiewicz, Władysław Łysakowski, Stanisław Siedlecki.

W skalnej pustyni

Z Warszawy wyjechało 12 lipca i 14 lipca 1932 r. Najpierw transport, potem uczestnicy wyprawy. Spoczątku towarzyszy im dyrektor PIM-a i inż. Jan Gutzman, który po krótkim pobycie na wyspie wrócił do kraju. Trójka młodych obserwatorów zostaje sama. Właściwie zupełnie sama, bo na wyspie mieszka Fritz Oien, kierownik norweskiej radiostacji z żoną, dzieckiem, bratem, będnym razem jego pomocnikiem w służbie radiotelegraficznej i drugim jeszcze asystentem. Nasi „polarnicy” żartują, że w plebiscyfie Wyspa Niedźwiedziej opowiedziałaby się za Polską, bo, jako piec, stanowiła większość. Od wyjazdu Lugeona są już jednak w mniejszości.

Założenie stacji obserwacyjnej na skalistej, nieostatej od wiatrów, pustej, samotnej wyspie wśród bezmiar oceanu wymagało szalonych trudów, wytrwałości i poświęcenia. Ledwie wszystko ukończono, zaczęła się zblizka noc polarna. Dzień coraz krótszy. Październik. Ciemność okrywa wszystko już o godz. 14-ej minut 17. Za miesiąc nie będzie słońca na wet i w południe. Zbliża się okres śnieżnych zawię i ostrego podbiegu mrozu.

Atak burzy polarnej

I teraz kartka z pamiętnika Centkiewicza:

„Niedługo czekaliśmy, 3 października zostaliśmy obudzeni w nocy wstrząsami całego domu. Zdawało mi się, że jakaś ostryżnia moce chwyci-

*) CZESŁAW J. CENTKIEWICZ: Wyspa mgieł i wichrów. (Pierwsza polska ekspedycja narodowa roku polarnego 1932/33). Str. 314. Warszawa. 1935. „Rój”.

ła nasz domek w potężne lapy, bawi się nim i przetraca. Miałem chwila mi wrazenie, że za chwilę domek nasz zostanie uniesiony w powietrze i rzucony w morze. Leżąc w łóżku czulem wyraźnie kołysanie się całej podłogi, a przecież dom ten był zbudowany przez specjalistów i przegotowany do oporu. Nocy tej nie znużyłem oka, wsłuchując się w szum wichru. To jednostajne, jakby wycie jest specjalnie charakterystyczne dla Wyspy Niedźwiedziej; w Europie wiatry o tej sile wieją zawsze nieregularnie podmuchami. Leżąc pod stołem kołców, czulem jednak ruch powietrza w pokoju i stałe opadanie temperatury. Noc przechodziła jak koszmara”.

Dzwoni budzik. Czas wstawać. Trzeba zrobić obserwacje.

„Władek Łysakowski nakłada kurtkę z podwójnego sukna, naciąga czapę futurzą na głowę i zawiązuje ją starannie pod brodą, wciąga rękawice i po chwili słyszymy jego walkę z drzwiami, których wiatr nie pozwala otworzyć. Pod wiehru wytworzył przed drzwiami śnieg rozrzedzonego powietrza, który uniemożliwia otwarcie drzwi. My obaj ze Staszkiem (St. Siedlecki), czulemy ruszyć pieców i naciągnąć rozpalany ogień, używając na rozpalenie starych kłitów szanownego Towarzystwa „A. S. Björnaya”. Kubek z popiołem zostawiamy jednak w pokoju, gdyż żaden z nas nie decyduje się na wyjście na zewnątrz. Na dworze panuje ciemność prawie absolutna. Po chwili wpadł do mieszkania Łysakowski. Przynosi ze sobą zapach mrozu i całego zwały śniegu na ubraniu. Przeszedł przez kłobowisko śniegu, niewiadomo jednak, czy to śnieg pada, czy też wieher unosi płatki śnieżne z ziemi. Władek otrząsnie się ze śniegu i zaraz z panieci zapisuje dane temperatury i kierunku wiatru. O chmurach nie powiedzieć nie można, gdyż widzialność jest na parę metrów zaledwie”.

Teraz nielada sprawa: przyniesienie wody. Kolej wypada na Centkiewicza. Niemal po maaku dochodzi do zamknięcia jeziora, a gdy już nabiera wody, wiatr porywa wiadło i chlusta mu wodę prosto w twarz: „Wreszcie decyduje się na powrót do domu, po drodze jednak trzęsąc zwoł połowę wody. Woda ta musi nam starczyć do umycia siebie, naczyni i ugotowania kawy. Przez oszczędność rezygnujemy z pierwszego punktu programu, tem więcej, że — jak sobie przypominamy — trzy dni temu myśliśmy się zupełnie do kładnie... Każdy z nas zabiera się do swej pracy, według normalnego planu”.

Trud i radość

Ale tu naraz pech! Linia zasilająca pawilon magnetyczny — uszkodzona! Czempredziej naprawiać. W pięciennych kombinacjach Centkiewicz i Łysakowski wychodzą na dwór. Gdyby włożyli futra, wiatr przewracałby ich, ponieważ przedstawiali dla wiatru zbyt wielką powierzchnię oporu. Po 20 minutach znaleźli uszkodzenie. Jak zaś wyglądało samo naprawianie i wracanie do domu. Jesteśmy u kresu sił”.

Radością po tych wszystkich trudach była dla trzech polskich obserwatorów krótka, osobna audycja radiostacji warszawskiej p. t. „Wiadomości z kraju dla członków Polskiej Ekspedycji Polarnej na Wyspie Niedźwiedziej”. Nagroda zaś za trud stanowiła wiadomość podana radjem, przez dyr. Lugeona, że już pierwsze obserwacje, poczynione na wyspie, zapowiadają ważne zdobycze naukowe.

Pięć pytań dla Kiepur

10 minut rozmowy z polskim tenorem

Paryski tygodnik „Vu”, drukuje trzy wywiady — trzech tenorów mówi o swej karierze i swych upodobaniach. Na tej liście najwybitniejszych współczesnych śpiewaków, w sąsiedztwie Schipa i Gigli’ego znalazł się Kiepura.

Współpracownik „Vu” spotyka go w chwili, gdy szykuje się do odjazdu:

— Wywiad? Wyjeżdżam za 10 minut. Proszę, niech pan idzie ze mną. Przez całą drogę możemy rozmawiać... A kiedy pan się zwróci zadaniem mi pytań, wtedy ja zaczne pytać. Zobaczymy pan, jakie to będzie zabawne!

— Ułubiona pana publiczność?

— Ach, w Paryżu zebrałem oklaski w takiej scenie w „Cyganerii”, w której ust nie otworzyłem. Jakaż chwala dla śpiewaka!

— Ułubiona rola?

— Marzę o roli, której nie trzeba było się uczyć, o roli, zmieniającej się każdego dnia, prawdziwej jak życie. W jednej roli — wszystko... — Sekret powodzenia?

— W życiu trzeba być człowiekiem interesu, a na scenie artystą. Nie odwrotnie!

— Ułubiony śpiewak?

— Pewien artysta, którego spotkałem w prowincjonalnym teatrze. Poedł wymieniał jego nazwisko? Umarł nieznany...

O rewindykację Ławry Począjowskiej

LUCK, 21.1. — Kurje biskupie rzymsko - katolickie Lucka, Podlaska, Pińska i Wileńska, powołując się na orzeczenie Sądu Najwyższego z dn. 20 lutego 1933 r. w sprawie rewindykacji cerkwi prawosławnej na rzecz rzymsko - katolickiego kościoła, zwróciły się do Najw. Tryb. Administracji z żądaniem przekazania im świątyni i mienia niegdyś rzymsko - katolickich parafii. Jak podaje agencja „Wiadomości Ukrainskie” rewindykacja obejmuje 700 obiektów obecnie prawosławnych, m. in. Ławrę Począjowską.

L. Ciechanowiecka

W BARAKACH I SUTERENACH WARSZAWY

Takich jest pół miliona...

Optował za Polską i teraz zato płaci

W jednej z czystych izb schroniska na żelaznym, wagonowym łóżku spoczywa pod szarym kocem, chory reemigrant. Na krzesku stoi butelka z lekarstwem i szklanka z mlekiem. Dobytek lokatora mieści się w jednej, skórzanej walizce. Na drzwiach wiszą skórzany płaszcz.

Na tle czystej poduszki odcina się ciemna głowa i młoda smagła twarz.

— Gut Morgen — odzywa się na widok gości. I zaraz dodaje: „Dzien dobry”. Ale z pewnym trudem. Przybył z Westfalji. Został tam „starych”. „Starych” jak mówili po polsku tak i mówią, ale syn już „ein bischen” zapomniął. Stary zostali w Paryżu. Opi są „in Polen geboren”, ale on już tam, w Herne.

— Meine Papieren waren nicht in Ordnung.

To wystarczało. Teraz czepia się o każdą nieścisłość. Aby tylko móc się pozbyć uciążliwego cudzoziemca.

— Kim pan był? — zapytuje po polsku.

Wysłuchuje się uważnie w brzmienie słów. Po chwili odpowiada.

— Fuhrmann.

Wziął kafele w fabryce. Potem fabryka splajtowała. Skończyły się dobre czasy. Zaczęła się krzyżowa droga człowieka, który ma wszelkie pozory Westfalczyka, a jest naprawdę Polakiem, a więc obcym, cudzoziemcem, który kwalifikuje się do usunięcia, niby ciera z organizmu.

— Ich hab’ optiert für Polen.

Po niemiecku głosował, ale za Polską. Niechże teraz zato płaci.

JAK WRÓCIŁ?

Dostał się na statek polski, pomagał palaczom, zato pozwolono mu jechać darmo. Ale w Gdyni nie było rady. Zostawiono go w porcie, z tą walizką, w tym skórzanym, zbyt lekkim płaszczu. Nie wiedział spóścunku co ma z sobą zrobić. Nikogo nie zna, po polsku nie mówi, krewnych nie ma.

— Miałem krewnych. „Ein Onkel” — ale był już bardzo stary, widocznie umarł. Rodzice pisali do niego kilka razy. Nigdy nie dostali odpowiedzi.

Co z nim będzie — zdaje się, że w tej chwili wie jedno. Dostał się

do ciepłego schronienia, wczoraj przysłało mu doktora. Powiedział, że silne zaziębienie.

— „Auf dem Schiff” się zaziębił. Rwie go w płucach „schrecklich”. Teraz tylko jedna myśl — wyjść z choroby. Potem wyjdzie się na świat boży i zacznie się szukać „Arbeit”. Jeszcze zdaje się, nie uświadamia sobie, że to nie jest wcale prosty kawał. Ale zawsze już ta pocziwa Opieka nie da mu zginąć, coś dla niego obmyśla. Najgorzej jest tym, który prosto z granicy pojechali, administracyjnym porządkiem, do miejsc urodzenia, ażeby się przekonać, że niema tam dla nich miejsca, że nikt ich tam nie przyjmie. Ciągnać będą do Warszawy, jak do przystani, bo jeszcze nie chcą wierzyć, że takich jak oni jest pół miliona i że ta ponura procesja „ludzi bez miejsca na świecie” powiększa się z dniem każdym...

OPUSZCZENI W NIEDOLI

Może znajdzie się jaki polski Rotszyld, który sygnie pieniądze, albo podaruje pałac, albo odda kawał lasu na budowę drewnianej kolonii, dla tych, co wrócili do kochanej, a nieznanej ojczyzny. Narazie Opieka nad Polakami na obczyźnie jest w stanie okazywać pomoc tylko zniżonej garstce (jeśli chodzi o wynalezienie pomieszczenia), zają muje się jak może tymi, co się zgłaszają do stacyj na dworcach w Zbąszyniu, Poznaniu czy Gdyni, projektując zdobycie dla nich działki ziemi pod Warszawą — reszta przewala się przez węzłowe stacje, wsiąka gdzieś w polską glebę, rozprasza się po wsiach i miasteczkach, skąd wypędzi biedaków brak pracy i nędza.

Masowy powrót polskich robotniczy i rzemieślników z zagranicy, to także jedna z klęsk żywiołowych, które spadają na współczesny świat. Trzeba na, gwałt, nie biurokratycznie, w tempie zwolnionem, złotym krokiem, z energią, z zapalem, z pasją organizować akcje ratownicze. Każdy przecież bez względu na zawód, stanowisko i polityczne poglądy ratuje ludzi podczas pożaru, czy powodzi... Przecież jest nie do pomyślenia, aby kilkadziesiąt tysięcy robotników, którzy w tej chwili wie jedno. Dostał się

już zachodnią kulturę, nabrała rutyny w pracy (bo co tu gadać — na Zachodzie jednak ludzie inaczej pracują niż u nas), władza kilkoma nieraz językami, ma facha w rękę — żeby taki pożyteczny element miał się zmarnować. A zmarnuje się pewnością, jeżeli ludzie dobrej woli nie zorganizują planowej, na dużą skalę zakrojonej akcji, opartej na jakiejś fundacji prywatnej.

Polski chłop ma twardą naturę, niełatwo się wynaradawia, na wet po wieloletnim pobycie zagranicą nie zapomina o czystej mowie, nie zrywa łączności z krajem, przywykł jednak tam w bogatej Francji, Belgii czy Niemczech do wyższej stopy życiowej, nabrał obycia, nauczył się pracować systematycznie, nie jeden z nich wydzwignął się z nizin i z bezrolnego analfabety przedzierzgnął się w zadufanego w siebie majstra takiego czy innego rzemiosła, wyuczył się nieraz kilku fachów — bo przecież z niejednego go pieca chleb jadał i przeróżnych zawodów się imał, by zapewnić byt sobie i rodzinie.

Są i tacy, którzy tam się urodzili, do tamtejszych szkół uczęszczali, więc jak się rzekło w poprzednim artykule — mają już dwie dusze, tę polską i tę drugą — francuską czy niemiecką. Obydwie mogą się u nas przydać, aby tylko umiejętnie zabrać się do reasymilacji odzyskanych polskich dzieci, żeby ich tylko nie zrazić i nie utracić — tym razem na zawsze...

Michał Choromański

O cierpieniu

Choromański, autor „Zazdrości i medycyny”, w związku z przekładem swej powieści na język czeski, bawił ostatnio w Pradze.

„Lidové Listy” skorzystały ze sposobności i ogłosiły z Choromańskim wywiad, w którym m. in. Choromański mówi o roli cierpienia w kształceniu charakteru człowieka:

— Zgadnam się z tym poglądem, że cierpienie podnosi człowieka z jakiejś wewnętrznej martwości do wyższego i pewniejszego poziomu moralnego. Zbliża go do zagadnień metafizycznych i mistycznych, neży go prawdziwej miłości bliźniego.

Str. 183

J. Kuszel i E. Balucki „Przegrana”

J. Kuszel i E. Balucki „Przegrana”

Str. 185

— Kto tam?

Przystanął mimowoli, ale momentalnie się zorientował, że przyczyna hałasu musi być po tamtej stronie parkana.

Nadsłuchiwał. Dołeciał go odgłos rozmowy, z której nie mógł uchwycić ani jednego słowa, potem ten sam głos odwołał i uspokoił psy.

Pziwny ogon — przyszło mu przez głowę — taki ruch w nocy...

Nagle nieludzki krzyk rozdarł powietrze:

— Ratunku! Na pomoc!...

Ten krzyk zelektryzował Barczyńskiego. Rzucił się w jedną stronę, w drugą, obejrzał się bezzadnie, zmierzając okiem wysokość parkanu...

— Bandyci! Na po... —

— Lola! — przeleciała błyskawiczna myśl...

Krzyk się urwał. Posłyszał szamotanie, gwałtowne głosy.

Pociemniało mu w oczach. Jedynym susem znalazł się na górnej krawędzi parkanu; podał na sobie ubranie, skrwawił ręce i nogi o drut kolczasty, ale nie czuł tego, każda sekunda, stracona na pokonanie przeszkody, dawała nowych sił; wyplatał się z kolców, na chwilę wyprostował się, cudem utrzymując równowagę na kołyszących się pod stopami drutach i skoczył w dół.

Pod drzewami było zupełnie ciemno. Poderwał się na równe nogi i poleciał w kierunku, skąd słyszał wołanie o pomoc. Biegł naoslep, natykając się na drzewa, gładkie gązdzie chłostały go po twarzy, nogi patały się w wysokiej trawie. Przedarł się przez gęsty maliniak, wypadł na ścieżkę, która go zaprowadziła na szeroką aleję i tu ujrzał jakieś postacie znikające w domu. We wszystkich oknach frontu było ciemno.

Okrzyknął dom z prawej strony, minął boczną ścianę, w której nie było żadnego otworu, wysunął głowę z za rogu i w odległości paru kroków od siebie zobaczył otwarte okno, z którego wychodziła szeroka smuga światła.

Podczołgał się pod okno i zajrzał: na łóżku leżała Lola, walcząc rozpaczliwie z pochylonym nad nią jakimś mężczyzną.

powinien słyszeć. Niech mi pan wierzy, panie Stefanie, bo dobrze znam ludzi: zjawiska jasne i napozór zwykłe nie ścigają na siebie uwagi.

Nalał Barczyńskiemu kieliszek konjaku i przysunął.

— Dziękuję, nie chce mi się.

— Niech pan wypije. To panu dobrze zrobi. — Po chwilowej przerwie, podczas której zapalili, podjął: — Mam wrażenie, że jesteśmy bliscy, jeśli nie rozwiązania to w każdym razie wyświetlenia sprawy. — Barczyński ożywił się. — Panie Stefanie, proszę panować nad sobą i słuchać spokojnie. Jeszcze kieliszek... Otóż jeden z moich wywiadowców jest na tropie niejakiego pana Archiego. Pokazywałem go panu kiedyś, pamięta pan? Taki wysoki, przystojny blondyn.

Barczyński skinął głową. Otrząsnął się z apatii i słuchał z natężoną uwagą.

Ten młody człowiek jest prawą ręką cieżkiego mister Perkina, z którym dawno mam na pieńku. Pana Archiego widziano dziś w Wawrze, przytem w części mało zamieszkałej, a to mi się wydaje bardzo podejrzaną i godną sprawdzenia.

— Jak się nazywa ta miejscowość? — zapytał Barczyński.

— Wawer.

— Gdzie to jest?

— Niedaleko Warszawy, za Grochovem.

Barczyński przypomniał sobie że tą drogą jechał z Lolą do Głębokiego. W jednej chwili stanęła mu przed oczyma raptowna ucieczka z Łazienek, kołowanie po całym mieście, przesiadanie się z jednej taksówki do drugiej...

Przywołał go do przytomności głos Lipowieckiego:

— Mam głębokie przekonanie, że panie Wysowieckiej nie stanie się żadna krzywda. Tym, którzy ją porwali, należy nie na niej, lecz na dokumentach, albo...

— Albo?... — powtórzył Barczyński.

— Albo na wciągnięciu pana do pułapki.

— Mnie? — wykrzyknął ze zdziwieniem. Lipowiecki pochylił się nad stołem i mocno scisnął jego rękę: